

MAURICE DEKOBRA.

Przygoda Odetty.

Samochód mknął między zabudowaniami fabrycznymi przedmieścia Clichy. Szofer Henry w białym płaszczu i czarnej czapce prowadził mistrzowską ręką maszynę.

Piękna Odetta de Gentelise, otulona w lekką cape krecią, rozparła się na haftowanych skórzanych poduszkach. Przyglądała się odbiciu swemu w lustrze, wprawionem pochyło między ścianką a dachem limuzyny i poprawiała upierścienioną białą rączką sznur czarnych pereł, okalających jej utoczoną szyję. Poznać było z każdego jej gestu, z każdego szczegółu stroju i nawet z liljowych orchidej, zdobiących kryształowe wazoniki w oknach, że jest pieszczoną przez los, psutą przez przyjaciół wykwinną damą z towarzystwa.

Nagle samochód zwolnił jazdę. Środek ulicy zajmowała grupa dyskutujących robotników. Sygnały ostrzegawcze Henry nie odnosiły żadnego skutku — rozprawiający nawet nie drgnęli, a nawet gromada wzrosła. Limuzyna zatrzymała się.

— Henry, co się stało? — nerwowo krzyknęła do tuły Odetta.

Szofer wzruszył ramionami. Nie mógł przecież przejechać dwudziestu ludzi. Odetta przyjrzała się tymczasem bacznie zebranym i szepnęła przerażona:

— Strajkujący!

Istotnie, byli to strajkujący z fabryk Ballandier'a. Widok luksusowej limuzyny, chcącej ich zmusić do ustąpienia z drogi, wzburzył w nich krew. Stanęli na stopniu i rozpoczęli badanie szofera.

— Cóż to, towarzyszu. Wiesz na spacer zbyt kowną lalczkę?

— To moja pani. Wypełniam tylko mój obowiązek — odparł Henry, i zakreślił korbą, chcąc ruszyć.

— Hola! — krzyknął jakiś olbrzym, kładąc ciężko rękę na korbie. — Zostaw no to cacko. Czy naprawdę masz zamiar tak odjechać? A przedewszystkiem, czy należysz do związku?

— Oczywiście. Chcecie legitymację?

— Nie trzeba. Wierzmy żeś nasz. Twoje szczęście, bo my nie lubimy obcych. Ale skoro tak, to razem sobie zrobimy hece.

— Tak, ale widzicie — mnie się śpieszy....

— Głupstwo! Nie martw się o zachcianki twej pani. Skręcaj na prawo do tego domu, a nam pozostaw resztę.

Gromada miała groźny wygląd. Sprzeciw nie przydałby się na nic. Przywódca bandy wy dobył z kieszeni browning i podrzucił, niby dla zabawy. Henry skręcił samochodem i podjechał do wskazanego domu, eskortowany przez całą gromadę.

Odetta słyszała wszystko. Błada i dy-

gocąca skuliła się w rogu siedzenia. Co chciała od niej ta zdziwała gawiedź?

Właśnie otworzyły się drzwiczki i przywódca bandy, ironicznym gestem zdejmując czapkę, powiedział:

— Czy księżna pani zechce nam zrobić zaszczyt i wysiąść?

Gromada wybuchnęła śmiechem. Odetta chciała wołać pomocy — ale zrozumiała bezcelowość tego odruchu. Nigdzie nie było nawet śladu policji. A tymczasem czarna od styczności z naoliwionymi maszynami ręka łagodnie, ale rozkazująco objęła przedramię Odetty i pociągnęła. Odetta wyszła z limuzyny.

Szofera już też wyciągnęli i poprowadzili oboje na pierwsze piętro drewnianego odrapanego budynku. Tłum skupił się w korytarzu i na schodach.

— Towarzyszu — spytał jeden z grupy Henry'ego — czy jesteś z twej chlebobawczyni zadowolony?

— Tak jest — odpowiedział szofer bez wahania.

— Czy ci dobrze płaci, syto daje jeść, grzecznie się odnosi.

— Tak.

— Wobec tego będziemy dla niej względni, prawda, towarzysze? Jeśli się nie mylę, ma nasz brat od swej pani wszystko, co chce, prócz, jak myślę, jednej rzeczy... A dlaczego właściwie tylko elegancy panowie mają mieć wszystko? Jaka ona czysta, apetyczna, świeża... Ładna buźka, cienka bielizna... Słuchajcie, uważam, że nasz towarzysz ma do niej takie samo prawo, jak bogaci dżentelmeni. Stąd wysuwam następujący wniosek: Szofer zostanie zamknięty ze swą chlebobawczynią w przyległym pokoju i pozostawimy mu godzinę czasu na przebycie odległości towarzyskiej, jaka ich dzieli. Czy się zgadzacie? Mówcie!

Gromkie okrzyki i oklaski wyraziły uznanie bandy. Ależ miał pyszne pomysły ten olbrzym Marcasson od metalowców!...

W okamgnieniu znalazła się Odetta i Henry, wpełnieni silnymi pięściami, w małym pokoiku o żelaznym łóżku, stoliku i dwóch krzesłach. Klucz zgrzytnął w zamku — głosy gromady ucichły, ale z pod drzwi rozlegała się rozmowa dwóch drabów, trzymających straż.

Odetta opadła na łóżko, przerażonym wzrokiem rozglądając się dokoła. Szofer, zany, inteligentny chłopiec, wielokrotnie odznaczony na wojnie, uczciwy i prawy, zrozumiał lęk swej pani.

— Niech się jaśnie pani uspokoi. Oni wcale nie są tacy straszni. Grunt, żeby ich przekonać, że ja... że my... że pani... Gdyby pani zechciała trochę rozpiąć suknie, żeby wyglądało, jak... Ja też, jeśli pani pozwoli, zdejmę bluzę. Dziękuję. Czy podać pani lusterko?

Wziął ze stolika pęknięte lusterko w metalowej ramce i usłużnie trzymał przed Odettą.

— Może jaśnie pani jeszcze potarga trochę włosy i zetrze puder?

Umilkł, a Odetta wypełniała mechanicznie jego polecenia, nie myśląc wcale. Jej drobne, wydelikacowane ręce drżały nerwowo. Wskazała główką łożka karkafkę z wodą. Henry nalał do szklanki i podał. Wypiła i bezwładnie osunęła się na krawędzi łóżka. Patrzyła na szofera błędnym wzrokiem, jak gdyby go nie widziała.

Tak przeszedł kwadrans, pół godziny, czterdzieści minut...

Wreszcie Henry krzyknął pod drzwiami:

— Hej tam! Otwórzcie już!

Pilnujący otworzyli drzwi i pobiegł powiadomić bandę. Wnet zaludniły się schody. Gorzkie i wiśniowe, które tymczasem wypili, usposobiły gromadę dobrodusznie i wesoło. Przyglądali się z zadowoleniem Odette i szoferowi, doprowadzającym do porządku swą garderobę.

— Wiwat na cześć pary kochanków! — huknął Marcasson. — A gdyby coś było — to nasz związek poda do chrztu...

Henry uściśnął szereg wyciągających się do niego dłoni i przyjmował powinszowania.

— Pewno byś się chętnie zaabonował? — zakpił Marcasson. Ten był zdecydowanie niezrównany!

Na dole Henry pomógł wsiąść Odette do auta i szybko odjechał, ścigany okrzykami gromady. Gdy się zbliżyli do Porte d'Asnières, odwrócił się i spytał:

— Gdzie zawieźć jaśnie panią?

— Do domu! — odpowiedziała płacząco.

Stanęli przed willą na rue des Belles-Feuilles. Henry otworzył drzwiczki, pomógł wysiąść Odette i spytał troskliwie:

— Czy jaśnie pani czuje się dobrze? Czy nie zaszkodziła jej ta przygoda? Chyba nie, — zawdzięczając mnie.

Świadoma, że niebezpieczeństwo minęło, Odetta ochłonęła już zupełnie. Jednakże dziwny dreszcz przenikał jeszcze jej ciało, a podkrążone oczy błyszczały szkłaco. Niedbale rzuciła:

— Zawdzięczając Henry'emu? Ależ co?

Henry osłupiał.

— Przecież to, że pani... właściwie, że ja jaśnie panią... uszanowałem — wybelkotał, mruąc w zmieszaniu czapkę.

Odetta uśmiechnęła się zagadkowo, postąpiła kilka kroków wyzywającym, kołyszącym chodem, i mierząc szofera pogardliwym spojrzeniem przymrużonych oczu — syknęła przez zęby:

— Bałwan!...

Tłum. Ir.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rek IV.

Łódź, dnia 12 czerwca 1927 roku.

Nr. 24.

Dzień katolickiej dziatwy szkolnej w Łodzi.



W dniu 29 ub. m. dzieci katolickie w Łodzi (z Krucjaty Eucharystycznej) obchodzili doroczną swą uroczystość, połączone z nabożeństwami w świątyniach, pochodem i akademią. Fot. A. Mayer

Teatralja.

Premjery warszawskie. — Kongres autorów dramatycznych w Rzymie. — Międzynarodowy sezon teatralny w Paryżu. — Uroczystości szekspirowskie.

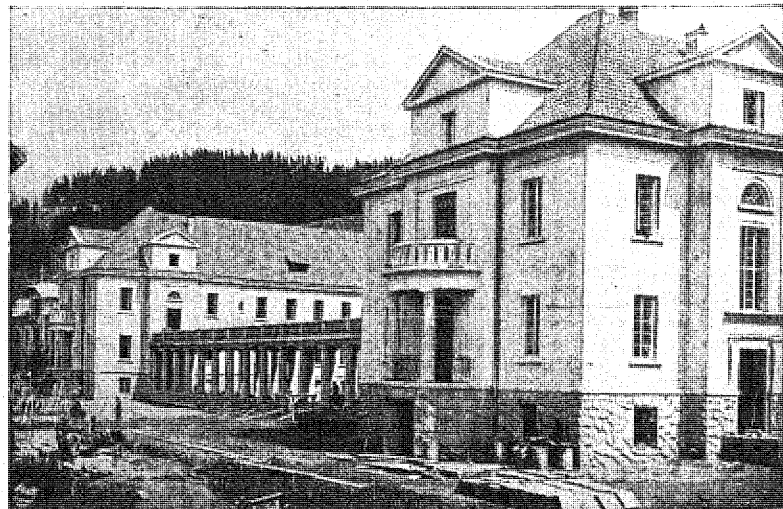
W pierwszych dniach b. m. na scenie Teatru Narodowego święcił jubileusz 40-letnia pracy aktorskiej jeden z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych artystów warszawskich — Paweł Owertło. Charakterystycznym momentem jubileuszu jest niepośrednia okoliczność, że młody jubilat (dobrzy aktorzy, jak wiadomo nie starzeją się nigdy) całą swą długoletnią karierę sceniczną poświęcił stolicy, ściślej zaś — Teatrowi Rozmaitości (dziś Narodowemu). Na święto jubileuszowe wybrano pełną wdzięku i humoru komedię Caillaveta i de Flersa — „Różyckę“, znaną zresztą dobrze publiczności polskiej, bo we wszystkich niemal naszych teatrach grywaną. Historia „Różyckiej“ wyblakła już może cokolwiek i rozminęła się z duchem czasu pod niejednym względem (komedia ta jest jednym z najwcześniejszych płodów znakomitej spółki). Poza to z dawnej obsady warszawskiej, szczytującej się głośnieimi nazwiskami aktorskimi pozostał na afiszu jeden tylko mistrz Frenkiel (w roli kardynała), reszta zaś ról, wyjąwszy jubilata jako hr. de Plalan, przeszła w ręce sił młodych i najmłodszych, dalekich jeszcze niezmiernie od dawnych a doskonałych wzorów. Te ujemne w pewnym stopniu strony jubileuszowego widowiska, zaciążyły oczywiście na całości odnoszonego wrażenia, nie osłabiając jednak w niczem serdecznego entuzjazmu, manifestowanego przez publiczność i kolegów dla zasłużonego jubilata. Obok niego i mistrza Frenkiela, oczywiście — najwięcej zdolności i zapału z pośród długiego afisza wykazała młodzieńca p. Żaklicka w roli tytułowej. Prócz wymienionych na wzmiankę zasługują też pp. Mogilnicka, Bednarczyk i znany Łódzi A. Szymański.

Szczególnem zrządzeniem losu — inna komedia tejszej spółki francuskiej, z późniejszego wprawdzie okresu jej działalności autorskiej, króluje też na scenie Teatru Polskiego. „Michasia i jej matka“ — brzmi tytuł tej caillaveto - flersowskiej historii numer 2, w której wytworny dowcip, szczerzy sentyment i właściwa ojcom „Michasi“ finezja wykończenia scenicznego walczą z sobą naprzemian o lepsze. Dzieje metamorfozy prowincjonalnej Michasi i jej matki — Ze skromnych mieszczyk panie te stają się głośnieimi aktorkami w Paryżu — opowiedziane są z ujmującym wdziękiem, tak świetnie podkreślonym grą pp.: Malickiej i Czapliskiej. Oczywiście, obok tego głównego motywu komedjowego biegnie motyw drugi — miłosnej intrygi, a obydwaj razem dają niejako wzór dobrej komedji, opartej na kulturze, zdolności obserwacji i pomysłowości autorów. Bohaterkom tytułowemu dobrze towarzyszą pp.: Węgierko, Fritsche, Bogusiński i Maszyński.

Jeszcze jedna premjera, też lekkiego rodzaju, w teatrze „Cwiklińskiej i Fertnera“. Jest to „Przyjaciółka pana ministra“, Aleksandra Engla, austriackiego pióra. Ciekawość

tużmu w stosunku do ludzi, stojących ponad nim, więc np. ministrów, jest od wieków znana; tak jakgdyby ministrowie mieli żyć, kochać i zdradzać inaczej, niż zwykli śmiertelnicy... Jeśli chodzi o komedię p. Engla, punktem jej wyjścia jest wcale niezły koncept. Oto pewna leciwa ciotka — pragnąc wydać zamaż swą siostrzenicę i uczynić ją w tym celu bardziej „interesującą“, puszcza w kurs plotkę, jakoby panna Muszka była „przyjaciółką ministra“. Na terenie apartamentów tegoż w modnym miejscu kąpielowem, zajętych — dla utwierdzenia fikcji — przez p. Muszkę, zachodzi dowcipne qui pro quo, a niespodzianka, zgotowana panu ministrowi kończy się, rzecz prosta, tem, że miła siostrzeniczka zostaje w akcie trzecim, całkiem autentyczną — panią ministrową. Główne role w tem głupekstwie grają pp.: Chaveau, Kościeszanka i Justjan.

Pierwszy międzynarodowy kongres autorów dramatycznych, na którym obecni byli przedstawiciele 17 państw, odbył się w końcu maja w Rzymie. Autorów polskich reprezentowali pp.: Krzywoszewski, Kleszczyński i Wroczyński. Wśród innych uczestników kongresu spotykamy następujące głośniejsze nazwiska: de Flers, Besnard, Langer, Lengyel, Chiarelli, Gherardi, Becerra, Broadhurst i t. d. Obrady kongresu poświęcone były głównie sprawom — związanym z zagadnieniem zabezpieczenia na terenie międzynarodowym praw autorskich i ujednostajnienia, w tym celu, poszczególnych prawodawstw. Należy z zadowoleniem podkreślić, że do stałego biura konfederacji autorskiej wszedł, na okres najbliższy, p. Stefan Krzywoszewski, jedyny przedstawiciel narodów słowiańskich, obok reprezentantów Francji, Anglii, Włoch Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Przebieg kongresu, poza jego częścią merytoryczną, odznaczał się wielką okazałością. Uczestnicy podejmowani byli przez gubernatora Rzymu, p. Mussoliniego, a wreszcie przez króla włoskiego, który ze znaczącą życzliwością potraktował delegację polską, rozmawiając z nią dłuższą chwilę. Następny kongres odbędzie się w roku przyszłym w Berlinie.



Nowe łazienki w Krynicy, jedne z największych w Europie.

Podczas rozpoczętego już w Paryżu — „międzynarodowego sezonu teatralnego“ (inicjatorem jest, jak wiadomo, dyrektor „Odeonu“ p. F. Gémier), przewidziane są następujące serje przedstawień: angielska, japońska, niemiecka, polska, rosyjska, włoska, hiszpańska, duńska. Obecnie w teatrze „des Champs Elysées“ popisuje się trupa operetkowa wiedeńska, grając „Teresinę“ Oskara Straussa, pod kierownictwem autora.

Jednym z punktów programu „sezonu“ będzie wystawa teatralna, do udziału w której zostały zaproszone wszystkie narody, uczestniczące w „sezonie“ paryskim. Najważniejszym działem wystawy ma być zbiór projektów dekoracji, t. zw. makiet. Poza to odbędzie się również międzynarodowy kongres sztuki dramatycznej, z udziałem wybitnych autorów, aktorów i scenizatorów.

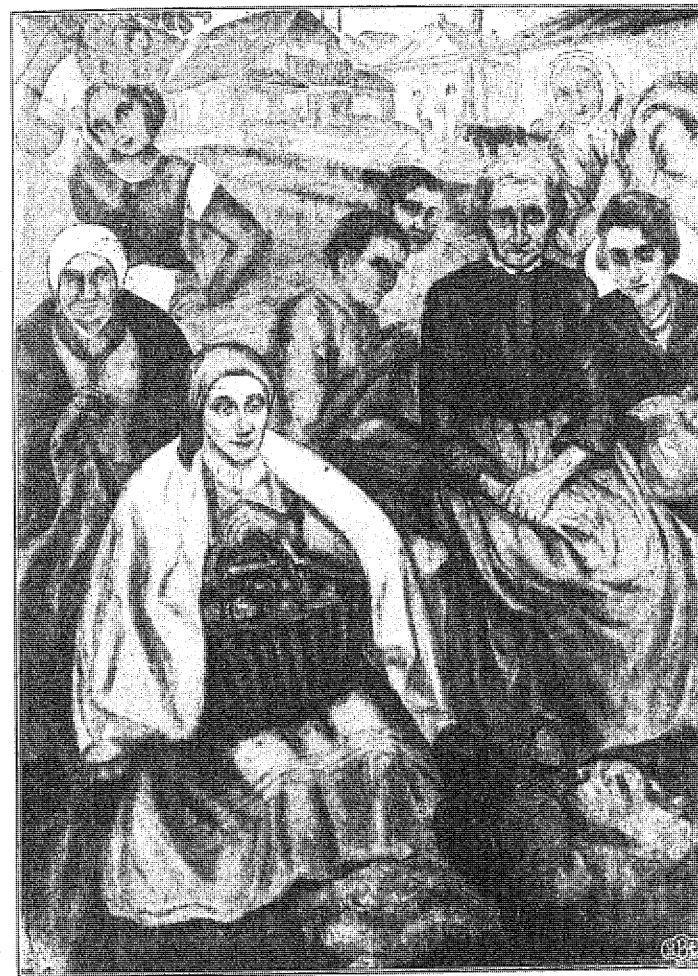
Pewnym dysonansem wśród tych uroczystości i obrad paryskiego „sezonu“ było odwołanie zapowiadanych przedstawień niemieckich, które miały być rewją współczesnej sztuki teatralnej Niemiec. Przedstawienia te zostały odłożone na czas nieokreślony, a niektórzy skłonni są przypisywać ten incydent obserwowanemu w ostatnich tygodniach pewnemu napięciu stosunków politycznych pomiędzy Niemcami a Francją i Zachodem wogóle.

W uroczym miasteczku Stratford nad Avonem, rodzinnem miejscu Williama Szekspira, odbyły się niedawno doroczne uroczystości z okazji rocznicy urodzin genialnego pisarza. Uroczystości te odbyły się, jak zwykle, z udziałem przedstawicieli państw obcych oraz komisarzy angielskich dominijów. Z ramienia poselstwa polskiego, obecny był chargé d'affaires, p. Łoś, który wygłosił podczas bankietu krótkie przemówienie przyjęte bardzo serdecznie. Z zadowoleniem podkreślić należy fakt, że nie brak już Polski w zjazdach i uroczystościach o międzynarodowym znaczeniu, że stwierdzamy swą obecność zarówno w Rzymie, jak w Paryżu czy też w Stratfordzie nad Avonem.

Delta.

NOWA WYSTAWA MALARSKA W ŁODZI.

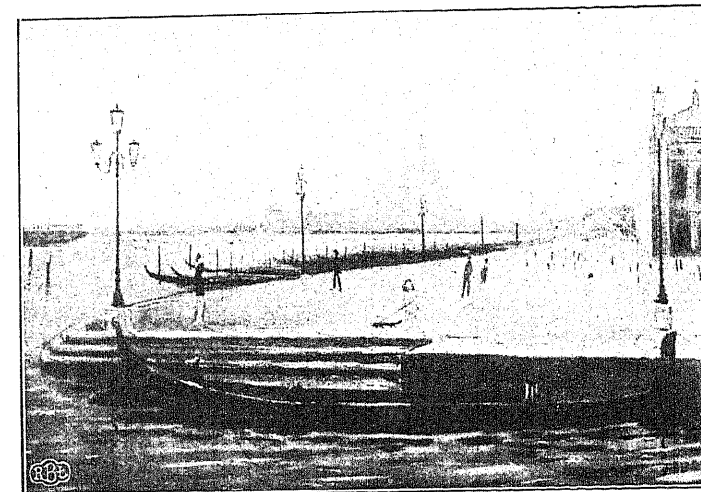
(Z Miejskiej Galerji Sztuki).



„Przekupki“ H. Teodorowicz-Karpowska.

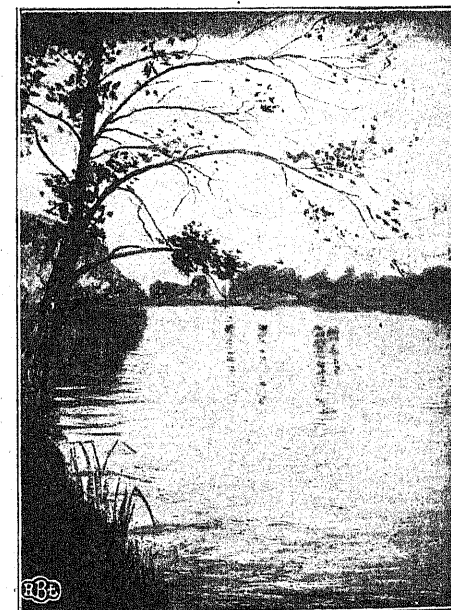


„Canale Grande i S. M. della Salute. (Wenecja) Waclaw Piotrowski.



„Il Molo z gondolą“ (Wenecja).

Waclaw Piotrowski.



„Łacha“ w Wilanowie — Waclaw Piotrowski.



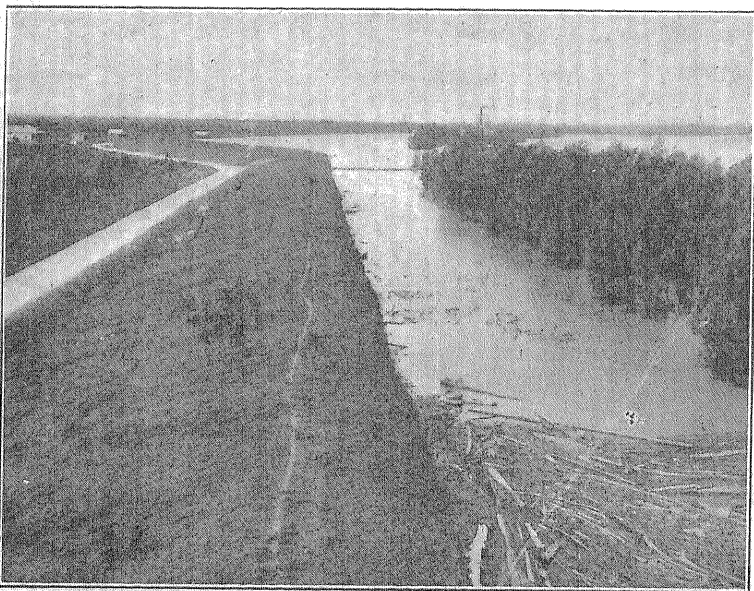
Portret p. S. — H. Teodorowicz-Karpowska.



„Portret na tle miasta“ H. Teodorowicz-Karpowska.



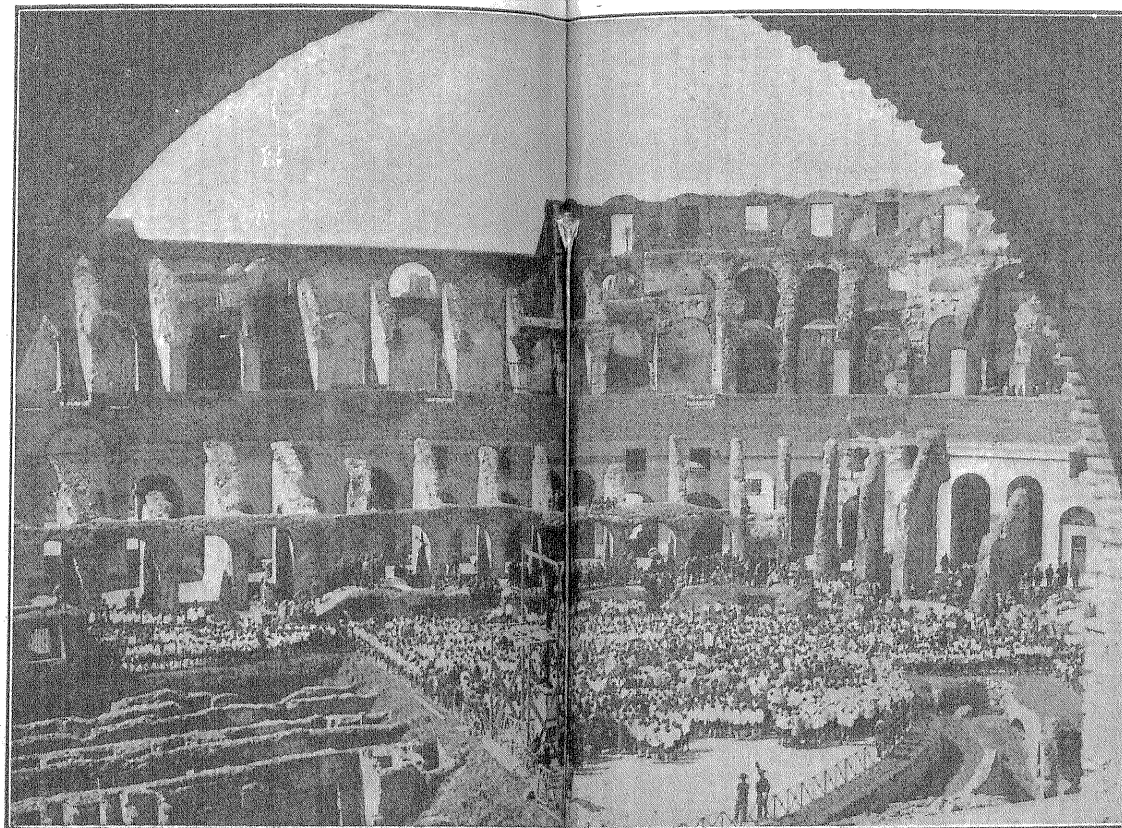
Lois Weber, jedyna na świecie dyrektorka filmowa przed swą willą.



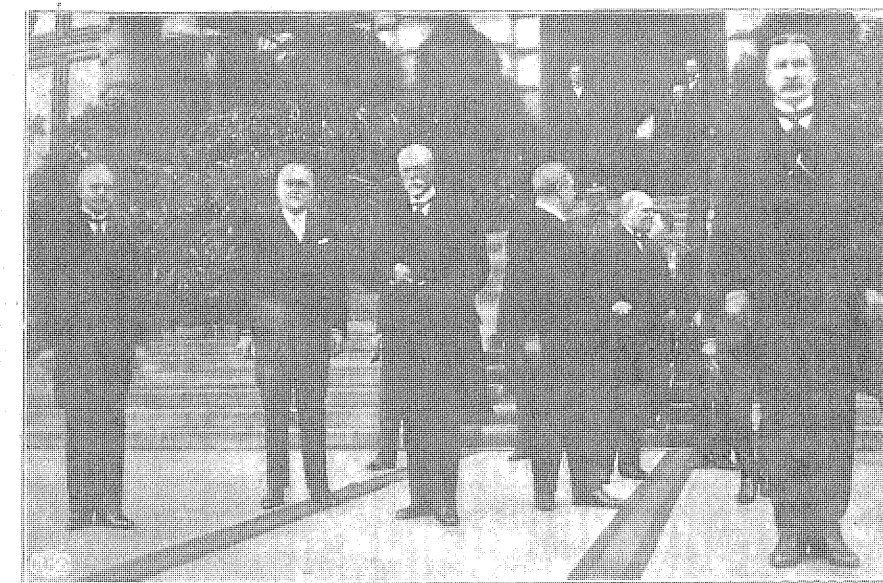
Poziom wód Missisipi zrównał się z tamami ochronnymi.



Nowa ofiara Tut-En-Khamona. W muzeum Louvre'u odbyła się akademja ku czci znanego egiptologa ś. p. Jerzego Benedite, zmarłego w Kairze podczas poszukiwań w grobowcu Tut-En-Khamona.



Zjazd kobiecych związków faszystowskich. W Rzymie było się zebranie organizacji faszystowskich „Dziewcząt włoskich” (Piccole Itale) w słynnym Coloseum.



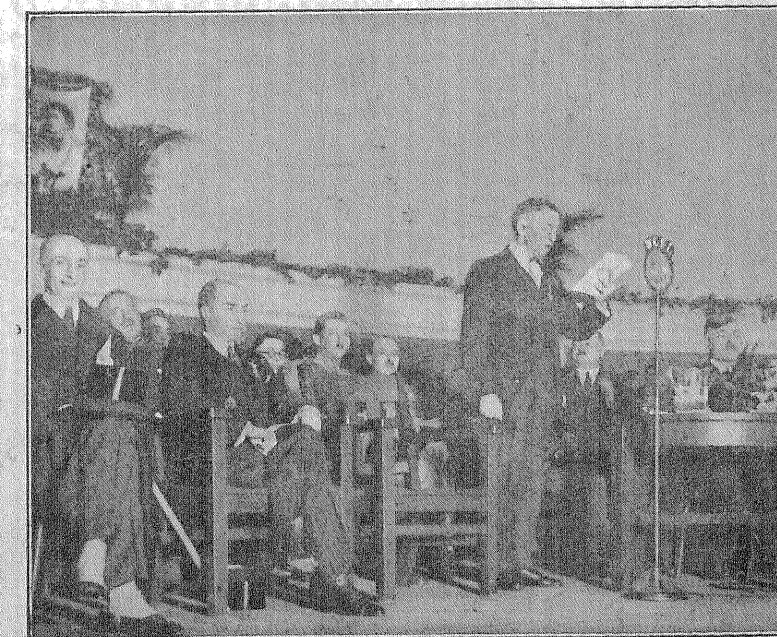
Prezydent Masaryk po ogłoszeniu powtórnego wyboru na prezydenta Czechosłowacji.



Domy na przedmieściach Nowego Orleanu stoją pod wodą.



Emocjonujący moment z gry w rugby.



Z uroczystego obchodu Kościuszkowskiego w Chicago.



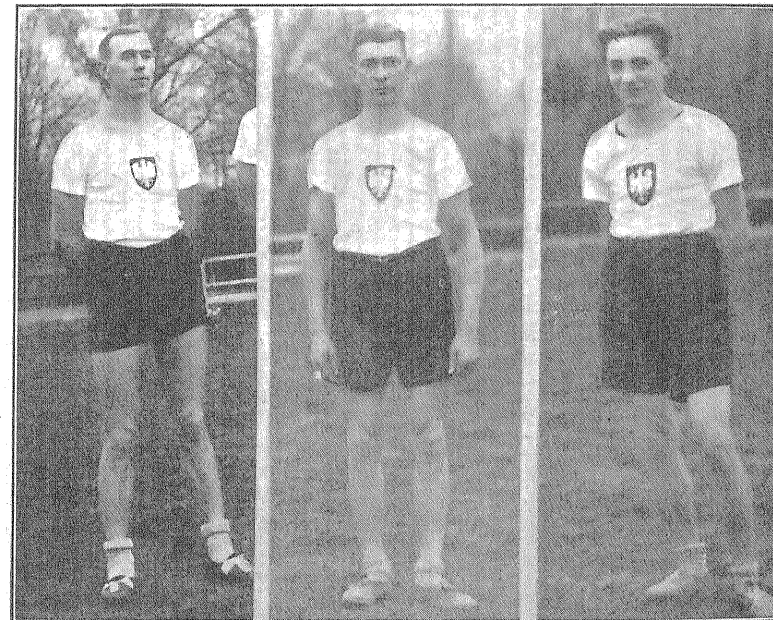
Polska w walce o puchar Davisa. Czetwertyński, Stolarow (Łódź) i Kleinadel reprezentowali Polskę na meczu z Belgią o puchar Davisa, przegrywając w stosunku 0:5.



Popisy kawaleryjskie konnicy polskiej.



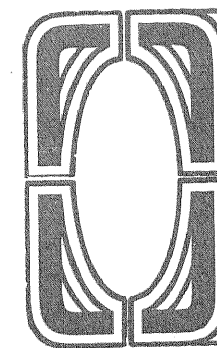
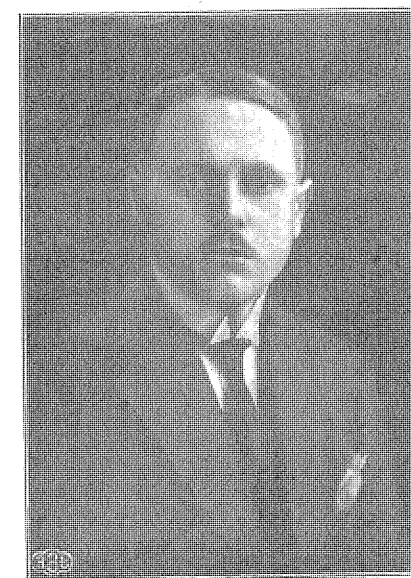
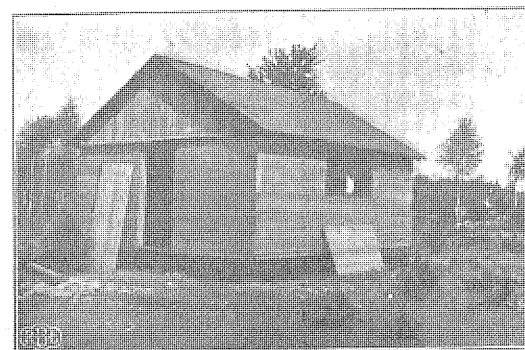
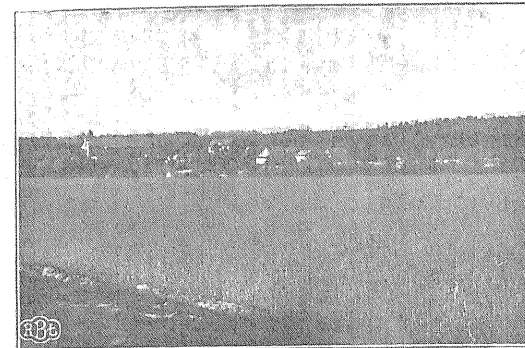
Bohaterowie konkursów hipicznych rtm. Królikiewicz i mjr. Toczek.



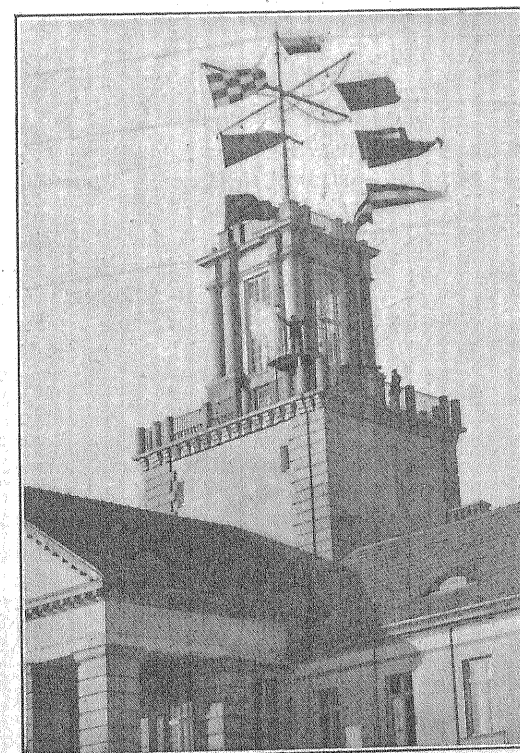
Por. Baran (Lwów), chorąży Adamczak (Poznań) i Sikorski (Warszawa) odnieśli w Rzymie trzy świetne zwycięstwa nad Włochami.



Lwowska „Hasmonea“ przed zawodami z Ł. K. S., które to zawody zakończyły się klęską lwowian w stosunku 3:0. Fot. A. Meyer.



- 1) Ogólny widok na obóz letni nad Linda.
- 2) Jedna z dziesięciu chatek obozu
- 3) Dyr. Oskar Szefer, przewodniczący komisji budowy obozu polskiej I. M. C. A. nad Linda.



Wieża sygnałowa polskiej marynarki wojennej w Gdyni.

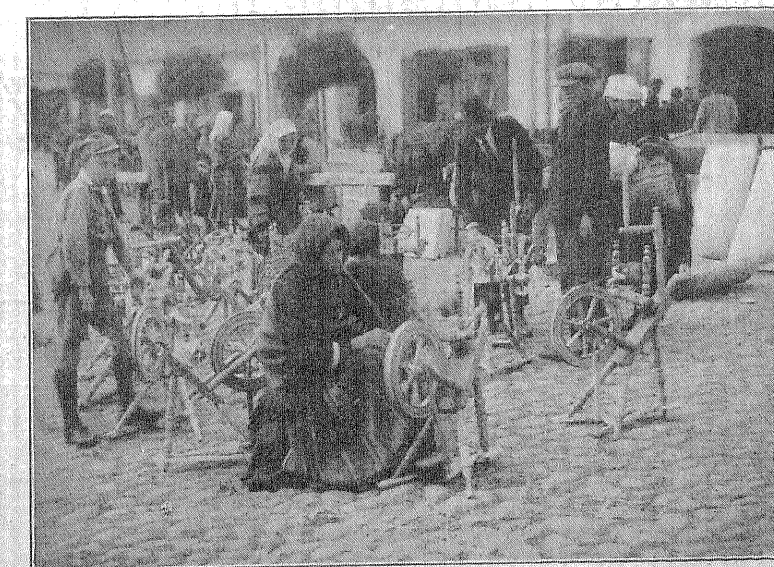
OLAI ASLAGSON.

Radość życia.

Zadowolenie jest chyba najwyższym celem, jaki wskazało nam życie. Być zadowolonym — znaczy być szczęśliwym.

Gonimy za szczęściem, szukamy go przez całe życie. Jeden w gromadzeniu pieniędzy, drugi w picu, inny znów w miłości. Niewielu szuka go w pracy. Ale rzadko znajduje ktoś to — czego szuka.

Wiele przeszedłem w mem życiu, pra-



Dwa oryginalne zdjęcia z jarmarku w Łowiczu.

wie cały świat objechałem i spotykałem wielu ludzi — ale tylko raz udało mi się poznać człowieka, który był zupełnie zadowolony ze swego życia, z siebie samego i z otoczenia. A warunki w jakich przebywał ów okaz, tak mało tłumaczyły jego zadowolenie, że istotnie przedziwna musiała być radość życia, kipiąca w tym człowieku.

Nie zapomnę nigdy okoliczności, w jakich go poznałem.

Przeszedłem zakażenie krwi w prawej nodze, którego nabawiłem się na Kubie i siedem tygodni leczono mnie w szpitalu marynarki. Gdy doktor uznał, że jestem już dość silny i zdrowy, aby na mojej półtora nodze uprawiać ogród szpitalny, wymknąłem się w nocy do portu, uważając, że siły moje zupełnie inaczej powinienem eksploataować.

Przez kilka dni tulałem się po porcie w Mobile, nie decydując się na żadne zajęcia, bo proponowano mi zaciągnięcie się do załogi okrętowej, a ja pragnąłem udać się w głąb lasów, na północ, bliżej do mej ojczyzny.

Podszedł do mnie jakiś starszy pan i spytał, czy szukam pracy. Gdy potaknąłem, oświadczył, że ma tartak o trzydzieści kilometrów na południe i dobrze płaci.

Namyslałem się. Nie miałem grosza przy duszy; obiady, ofiarowywane chętnie przez marynarzy za chwilę pogawędki, nie zawsze smakowały, zwłaszcza gdy sternik lub kapitan przychodził za wcześniej i nie zdążyło się przelknąć deseru, a czasem nawet pieczonego; ubranie wypowiedało mi już posłuszeństwo.

Ostatecznie, cóż znaczy jeszcze trzydzieści kilometrów? Zarobie, to pojedź dalej w kierunku północnym, niż jestem obecnie...

Zgodziłem się. Starszy pan poszedł ze mną na stację, kupił bilet, wsadził do wagonu i dokładnie określił, gdzie mam wysiąść.

Wagon, w którym jechałem, składał się — jak to w Mobile przyjęto — z dwóch oddziałów. Większy przeznaczony był dla nas, mniejszy dla murzynów. Rozlegały się tam wesołe śmiechy, głosy, specyficzne dla czarnej rasy. Śpiewano i grano na jakichś instrumentach — albowiem murzyn nie może się obejść bez muzyki.

Względnie szybko, jadąc cały czas przez lasy, dotarliśmy do wskazanej stacji. Wyśiadłem. Pociąg ruszył dalej. Przez chwilę zdawało mi się, że zostawiłem w przedziale mój bagaż, ale wnet przypomniałem sobie, że mam wszystko w kieszeni.

Na stacji dwóch murzynów ładowało skrzynki na wóz. Spytałem się o ich tartak, i dowiedziałem się, że właśnie tam pracują i zaraz jąda. Ulokowałem się na wozie i przyglądałem murzynom. Jeden był czarny jak diabeł, ale rysy miał dość regularne; drugi był jeszcze czarniejszy i tak potwornie brzydki, że chyba tylko własnej matki nie raził szpetotą.

— Oto — pomyślałem sobie — twórcy ludzki, o którym zapominała historia rozwoju. Kto wie, może i śmierć o nim zapomni.

Ruszyliśmy. Nie będę opisywał drogi przez las, przepalony, suchy las, smutny i odarty z uroku, jak gdyby gorączka bogacenia się właścicieli tartaków i wyzysk robotników (o mało co nie powiedziałem — „niewolników“), zatrwały i unicestwiały aromat lasów.

Na tartaku przyjął mnie dozorca robotników. Niski, barczysty, jowialny człowiek o rozsmianej twarzy, rozsmianych oczach, rozwartych w śmiechu ustach. Wogóle wszystko śmiało się w tym człowieku, trząsał się pokaźny brzuszec, a pewien je stem, że nawet wielki palec skręcał się w bucie z wesołości.

Nie poznałem go jeszcze dobrze, a już wyczułem, że kipi w nim i wybucha radość życia, że zadowolenie i bezgraniczna pogoda ducha udziela się nawet otoczeniu.

Sposób, w jaki odnosił się do ludzi, był przyjazny, serdeczny, przepojony słońcem i wiecznym śmiechem.

Pierwszy to raz widziałem białego dozorca, który uważał murzynów za ludzi. Zdumiało mnie to, zdziwiło i zachwyciło. Zazwyczaj taki dozorca nosił duży rewolwer w kieszeni, a bat w rękę, kłął i wymyślał tak, aż pot spływał mu po twarzy wielkimi kroplami, a murzyni zlorzeczyli i cierpieli. Ten biały pozostał człowiekiem! Było to dla mnie zdarzeniem niezwykłym, prawie objawieniem.

W tej małej Utopii zrozumiałem, że praca i przyjaźń mogą iść ręką w rękę i że można śmiać się, zamiast kłąć.

Dnia tego zakończono już pracę i wszyscy udawali się do swych domostw. Prócz dozorca nie widziałem jeszcze białego — więc spytałem go, gdzie wszyscy mieszkają. Wtedy to dowiedziałem się, że on i jego rodzina są tu jedynymi przedstawicielami naszej rasy.

— Ale nie rób sobie nic z tego! — zawołał. — Zamieszkaż oczywiście u nas.

A widząc rozczarowanie i niezadowolenie, malujące się na mem obliczu, dodał:

— Będzie ci tu dobrze, zostań tylko. Nie odchodź. Musisz zostać z nami. Przyzwyczaj się. Zobacysz jak tu pięknie. Tak dobrze się bawimy! Wieczorami w sobotę gra orkiestra, tańczą, wesela się, śpiewają. Ach, gdy usłyszysz tę muzykę! Tę muzykę radości i wesela, ognia i krwi! A ludzie! Takich ludzi nie spotkasz nigdzie. To najlepsi ludzie pod słońcem!

— Bardzo możliwe — wtrąciłem — ale mimo to — murzyni!

Miałem zamiar uciec stąd, gdy tylko zapadnie mrok. Obawiałem się trochę, bo właściciel tartaku kupił mi bilet i obowiązany byłem wziąć się do pracy. Prawa w krajach Południa są srogie dla robotników — niewolnictwo płynie jeszcze w krwi.

Narazie przeto milczałem, niedowierzając memu towarzyszkowi. Zawiodłem się już na niejednym pogodnym i śmiejącym się.

— Chodź prędko! — zawołał znowu. — Pokażę ci matkę i dzieci. Niedługo pora wieczery. Mam śliczne córki i rozkoszną żonę. Chodź, pokażę ci je.

Zadowolenie tego człowieka ze wszystkiego, co go otaczało, od murzynów po-

czawszy, skończywszy na żonie i dzieciach, wydawało mi się niewiarygodnym. Podejrzewałem, że ma trochę przewrócone w głowie. Taki błogostan w leśnym pustkowiu, wśród szwargotu czarnych i huku tartaku, upewniał mnie w tem przekonaniu. Udałem więc cierpliwego — i postanowiłem czekać ciemności.

W kuchni drewnianego domku zostałem powitany przez jego żonę, trzydziestokilkuletnic, trochę ciemną piękność. O mało mnie nie uściślakala, tak się ucieszyła widokiem białego człowieka. Zawołała na córki. Weszły dwie dziewczyny siedemnasto i osiemnastoletnia, piękne, smukłe, świeże i pojętne.

Jakiś bies szepnął mi:

— Powinieneś jednakże pozostać tu czas jakiś...

Nim się obejrzałem, siedziałem przy smacznie zastawionym stole, otoczony całą rodziną. Mówili jedno przez drugie, śmiali się, żartowali. Z oczu całej czwórki tryskała ta sama radość życia, która zadziwiła mnie u ojca. Robili wrażenie rodzeństwa. Córki ścisnęły i całowały ojca, bawiły swą pustotą nas wszystkich, swawoliły i śmiały się perlistą, srebrną gamą.

Mój zamiar ucieczki coraz bardziej obracał się w niwecz.

Po wieczery usiedliśmy na werandzie. Z sąsiednich sadyb dochodziły melodyjne dźwięki wielostrunnych murzyńskich instrumentów. Mrok zapadł, a od lasu szła żywiczna, nieznaczną wilgocią nocy wywołana woń.

— Nigdy nie będziesz żałował, żeś tu pozostał — odezwał się dozorca, a trzy kobiety potaknęły skwapliwie.

— To, co dziś czujesz — ciągnął dalej — czułem ja przed dwudziestu laty. Tak, minęło już dwadzieścia lat... Zobacysz! Przybyłem tu biedny i samotny — teraz mam najlepszą żonę, najpiękniejsze dzieci, dostatek i spokój. Dziwne to miejsce. Trzeba je pokochać. Teraz uśmiechasz się, ale i ty je pokochasz. Zostań tydzień — a zostaniesz miesiąc. Zostań miesiąc — a zostaniesz rok. A potem dwadzieścia lat i — zawsze. Będziesz wtedy przepojony szczęściem i radością — tak jak ja...

Było już późno. Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Usiadłem w przeznaczonym dla mnie pokoju przy oknie i myślałem nad słowami „człowieka szczęśliwego“. Czyżby odgadł przyszłość? Czyżby któraś z jego pięknych córek miała się stać łańcuchem, wiążącym mnie na zawsze z tym bezkresnym lasem południa? Ale czy ten człowiek i to przewidział, że trzeba na świat przynieść w sobie ten uśmiech pogody, tę radość życia, aby, tak jak on, kochać murzynów, kochać pracę, kochać tartak i to powszednie życie.

Może stehórzyłem — może postąpiłem niegodnie — ale wyskoczyłem przez okno i uciekłem. Gnała mnie troska o moją przyszłość, pęd do szerokiego świata, do przygody, do swobody.

Może... uciekłem od własnego szczęścia, bom go nigdy nie spotkał, tak samo, jak nie spotkałem więcej człowieka, któryby był tak szczęśliwy...
Tłum. Ir.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 19 czerwca 1927 roku.

Nr. 25.

Święto Spółdzielczości w Łodzi.



W dniu 12 b. m. związki zawodowe i zrzeszenia kooperatystów uroczysto obchodziły „Dzień Spółdzielczości“.

Fot. A. Meyer.